

Z LEWEJ STRONY

Kacza strategia zawodzi?

Kaczyńscy w zgodnej, rodzinnej atmosferze wydumali sobie strategię, która miała im pomóc wyostać się z grożącej im nicości, a może nawet zatrzymać prezydenturę na kolejną kadencję. Po przegranych wyborach, po gwałtownych spadkach poparcia dla Prawa i Sprawiedliwości, a także indywidualnie dla każdego z obydwu braci uznano, że tylko jakiś gwałtowny wstrząs może uratować sytuację. Wybór padł dość niespodziewanie na sprawę – wydawało by się – już przesądzoną. Wszak dopiero co odrąbiono wielkie zwycięstwo Lecha Kaczyńskiego, który miał rzekomo wynegocjować traktat lisboński w możliwie najlepszej dla Polski postaci. Przyjęcie traktatu i złożenie podpisu przez prezydenta wydawało się więc już tylko formalnością.

Mamy co prawda w Polsce jakieś 15 – 20 procent eurosceptyków, a w tym kilka procent zdecydowanych przeciwników Unii, ale można sądzić, że z upływem czasu, kiedy korzyści z naszej przynależności będą jeszcze bardziej widoczne niż obecnie wielkości te ulegną całkowitej minimalizacji. Pozostanie garstka zaciekrzewionych, wrogo nastawionych do integracji, posługujących się tak niedorzeczną argumentacją, że podjęcie jakiegokolwiek dyskusji z nimi nie będzie możliwe. O losach naszej obecności w Europie musi decydować głos przygniatającej większości trzeźwo myślących obywateli, akceptujących nasze aspiracje, naszą obecność w rodzinie krajów chcących pokojowo współżyć ze sobą i wzajemnie sobie pomagać.

Niestety, ze względów taktycznych, zwycięzył (chyba źle pojęty!) egoistyczny interes Prawa i Sprawiedliwości, a prawdopodobnie także naciski płynące z Turunia. Pod dyktando Jarosława Kaczyńskiego rozpisano scenariusz podważający naszą gotowość do ratyfikowania traktatu lisbońskiego. Kością niezgody stały się rzekomo niezbędne z a b e z p i e c z e n i a, bez których wynegocjowany przez prezydenta dokument miał by zagrażać naszej suwerenności, naszej tożsamości narodowej, nawet naszej integralności terytorialnej, no i, oczywiście, dobrym obyczajom. Padały nieśmiało pytania, że skoro prezydent wynegocjował ponoć n a j l e p s z y dla Polski traktat, to po co jeszcze zabezpieczenia? Ale żadne argumenty nie trafiały do liderów i polityków PiS-u. Dwa tygodnie toczyła się jałowa dyskusja, w czasie której jednomyślni jak zawsze ludzie Kaczyńskiego dowodzili, że jedyny kompromis, na jaki mogą się zgodzić, to... przyjęcie ich propozycji. Do całej awantury wmanewrowano prezydenta, na czym zresztą on najgorzej wyszedł. Ostatecznie wszystkie pomysły Prawa i Sprawiedliwości, a także Lecha Kaczyńskiego, okazały się niezgodne z Konstytucją. Jednak lider PiS-u i jego klub parlamentarny nie przyjmowali żadnych argumentów, żądając niezmiennie, ażeby w ustawie ratyfikacyjnej wyraźnie napisano, że nigdy w przyszłości żaden wybrany w demokratycznych wyborach rząd nie będzie mógł zaakceptować unijnej Karty praw podstawowych (którą bez zastrzeżeń poparli np. hiszpańscy biskupi, a także 27 państw członkowskich Unii, w tym np. Czesi), ani zrezygnować z postanowień z Joany (o których się mówi, że są akurat bardziej korzystne dla Niemiec niż dla Polski!) bez zgody prezydenta, premiera oraz trzech czwartych posłów i senatorów. Było by to niedopuszczalne złamanie Konstytucji, rozwiązanie nie znane w naszym prawie, wiążące ręce przyszłym rządowi. Podążając tym tokiem rozumowania można się tylko dziwić, że w czasach rządów Jarosława Kaczyńskiego nie uchwalono, że sklecona przez niego koalicja ma sprawować władzę do końca świata. Wszak w Sejmie była odpowiednia większość, a stosunek ówczesnego rządu do obowiązującego prawa był więcej niż swobodny. Taki pomysł na pewno zyskał by poparcie premiera, prezydenta oraz trzech czwartych ówczesnego składu Sejmu i Senatu.

Ale żarty na bok. Można tylko ubolewać, że takie brednie wymyślają ludzie szczycący się tytułami profesorskimi i doktorskimi. Z dziedziny prawa – żeby nie było wątpliwości. Wprawdzie Kaczyńscy już dawno przyjęli zasadę, że cel uświęca środki, ale nawet przy takiej postawie niezbędny jest pewien umiar, żeby nie powiedzieć odrobina rozsądku. Mimo wszystko Polska nie jest jakąś bananową republiką, gdzie ludziom można bezkarnie wciskać kit i latami mieszać w głowach. Ale Jarosław Kaczyński pamiętał doskonale, że właśnie dzięki bezczelności i cynicznemu gierkom, okraszonym bogoojczyźnianym sosem zdobył trzy lata temu władzę. Sądził więc – naiwnie, jak się okazało – że może wciąż sięgać do tego samego arsenału.

Dywersonja, jaką posiali Kaczyńscy swoim pomysłem wprowadzenia niekonstytucyjnej preambuły do ustawy akceptującej traktat lisboński odbiła się szerokim echem w kraju i zagranicą. Tygodnie jałowych przepychanek, narażenie głowy państwa na śmieszność, a przy okazji obrażanie sąsiadów, przez długi czas brak gotowości do wypracowania jakiegoś rozsądnego wyjścia z tego idiotycznego pata – wszystko to zaowocowało gwałtownym spadkiem poparcia dla Prawa i Sprawiedliwości, dla lidera tego ugrupowania oraz dla prezydenta. Oczywiście, w pomysłach obu braci można było dopatrzeć się czegoś więcej niż tylko niekompetencji, czy nawet głupoty. Gdyby się im udało przeferosować swoje pierwotne pomysły umocniło by to znacznie pozycję prezydenta, zadowolono oczekiwania ojca dyrektora, uratowało poparcie buntujących się ostatnio najagorzalszych przeciwników integracji. Było to jednak szyte zbyt grubymi nićmi, ażeby mogło się udać.

Jarosław Kaczyński kolejny raz dowiódł, że brakuje mu elastyczności. Niezmiennie próbuje grać na strachu, na fobiach okraszonych patriotyczną retoryką. Ujawnił w pełni swoją nieporadność. Kolejny raz rozpętał aferę, która skończyła się kląpą, bo inaczej skończyć się nie mogła. Wydaje się, że zrozumiał to nawet jego brat, ratując w ostatniej chwili twarz oraz prestiż wysokiego urzędu, jaki piastuje i godząc się na kompromisowe rozwiązanie, pozwalające mu wyjść z honorem z tego niebywałego klinca. Ale nie Jarosław, wymachujący wciąż drewnianą szabelką.

Nawet przychylnie byłemu premierowi media, wspierające jeszcze niedawno jego autorytarne zapędy nazywają go dzisiaj z r z e d a i doradzają, że najlepiej dla prawicy by było, gdyby odszedł z polityki. Ale tak się chyba nie stanie. Lider PiS-u będzie trwał na stanowisku, aż zasłuży sobie na określenie: straszny dziadunio! I zapewne nieraz jeszcze da znać o sobie.

Włodzimierz Kotowicz

NA PROSTEJ I ZAKRĘTACH

Przewietrzyć siedzibę na Miodowej

Wydawało się, że na finiszu są działania prokuratury w aferze korupcyjnej w polskim futbolu, nazywanej popularnie ustawianiem meczów. Kary dotknęły już kilka klubów. Zatrzymano i przesłuchano ponad sto osób – sędziów, delegatów związkowych, trenerów i działaczy ze szczebla centralnego i okręgowego. Zgromadzono olbrzymi materiał dowodowy. Okazuje się jednak, że ten finisz w aferze korupcyjnej może znacznie się wydłużyć. Potwierdza to zatrzymanie i przesłuchanie wielokrotnego reprezentanta kraju, trenera Dariusza Wdowczyka oraz byłego reprezentacyjnego bramkarza Andrzeja Woźniaka. Prokuratorów interesowały ich poczynania kiedy byli zatrudnieni w Kolporterze Koronie Kielce. Przypomnijmy, że wtedy drużyna z Kielc w szybkim tempie awansowała z trzeciej ligi do ekstraklasy. Wymienieni przyznali się, że uczestniczyli w aferze ustawiania meczów. Szczegółów z przesłuchania nie znam, ale to jest mniej ważne. Istotne, że w aferze korupcyjnej pojawiły się nazwiska nowych osób mocno usadowionych w naszym futbolu.

Na to wydarzenie błyskawicznie zareagował Krzysztof Klicki właściciel i sponsor kieleckiego klubu. Zapowiedział, że wycofuje się z futbolu. Do końca tegorocznego sezonu ligowego będzie jeszcze wspierał drużynę, ale wszystkich zawodników wystawi na listę transferową po zakończeniu ligowego sezonu. Wynika z tego, że chce odzyskać część pieniędzy, które włożył do kasy kieleckiego klubu. Decyzja ta spotkała się nawet z uznaniem pewnej grupy futbolowych działaczy. Krzysztof Klicki powiedział, że nie wiedział o całym procederze. Ufał trenerowi Dariuszowi Wdowczykowi, który zapewniał go, że gra czysto. A dziwne sytuacje na boisku tłumaczył tym, że Kolporter Korona jest drużyną lepszą od rywali. I w efekcie rzuty karne są dyktowane dlatego, że przeciwnicy nie mają innych sposobów na naszych piłkarzy, tylko faulowanie. Może pan Krzysztof Klicki nie wiedział o całym procederze, który uprawiali jego pracownicy. Nie jestem jednak do końca przekonany o jego niewiedzy w tej materii. W tym miejscu można przypomnieć słowa dwóch panów mocno związanych z naszym futbolem. Mam na myśli Jacka Rutkowskiego właściciela Amiki Wronki i Lecha Poznań oraz Zbigniewa Drzymałę właściciela Groclinu. Obaj panowie na łamach „Przeglądu Sportowego” przyznali, że korupcja była powszechna. Objęła wszystkich: kluby, sędziów i działaczy. Nic dodać, nic ująć.

Skoro korupcja była powszechna to musiała zahaczyć o futbolową centralę przy warszawskiej ulicy Miodowej. I pewnie weszła. Ma kłopoty wiceprezes PZPN Eugeniusz Kolator, do uczestnictwa w ustawianiu meczów przyznał się m. in. członek zarządu Wit Żelazko. Przyznało się wielu sędziów i działaczy, którzy liczyli się w polskim środowisku futbolowym.

Sledztwo trwa. Zatrzymywani są nowi ludzie. Przybywa stron w aktach, które potwierdzają powszechna korupcja w polskim futbolu. To wszystko jednak nie trafia do głów decydentów z PZPN. Czynią wszystko by zminimalizować problem. Udają, że o niczym nie wiedzieli, że to wszystko działo się, za ich plecami. Oni są czysti, ba, kryształowi.

Totalne zakłamanie i bezczelne oszukiwanie nie tylko futbolowych kibiców, ale całej opinii publicznej. Nie wierzę bowiem, że prezes Michał Listkiewicz i jego najbliżsi pretorianie nie wiedzieli o całym procederze. Śmiem twierdzić, że nie chcieli wiedzieć. Dla nich najważniejszym było pilnowanie swoich intratnych krzesłek w siedzibie przy ulicy Miodowej.

Wielu sympatyków futbolu liczy, że w niedzielę 13 kwietnia br. wiele spraw może się

wyjaśnić. Zbierają się bowiem delegaci i będą radzili – nad czym??? Istotne pytanie. Pewnie zapadną decyzje o liczbie zespołów w ekstraklasie w nowym sezonie (ma być podobno 12) i ustalona zostanie sprawa awansu z drugiej ligi. Po cichu mówi się, że prezes Michał Listkiewicz ma przeprosić w swoim imieniu i członków obecnego zarządu za „zamieszanie w polskim futbolu” Ciekawe jak będą wyglądały te przeprosiny, Zadnych zmian we władzach związku nie należy oczekiwać. Wszystko ma być jak dotąd. A niezadowolonym kibiców i pohukiwaniem ministra sportu nie należy się przejmować. Jednocześnie to powiedział prezes Michał Listkiewicz. „Nie mam zamiaru podawać się do dymisji”. Mało tego. Ponownie zaczął straszyć, że jak będą jakieś ingerencje władz do polski futbol może być wykluczony z europejskiej rywalizacji. W tym miejscu weźmy dla porównania takie na przykład wydarzenie (teoretyczne). Gdyby w ministerstwie finansów wykryto aferę jak w futbolu, to pewnie na drugi dzień do dymisji podałby się minister. Tymczasem „minister od futbolu” Michał Listkiewicz przewodzący skorumpowanemu stowarzyszeniu nie poczuwa się do żadnej winy i odpowiedzialności. Prezes niczego się nie boi. Podobnie jak jego najbliżsi pretorianie. A wśród nich „wielki w naszym futbolu” Jerzy Engel. Zdenierował się na ministra sportu za jego wypowiedzi na temat funkcjonowania zarządu PZPN i odpowiedzialności tych osób za wydarzenia w naszej piłce nożnej. Co takiego powiedział minister sportu Michał Drzewiecki, że oburzyło to Jerzego Engela. Powiedział m. in. sytuacja w polskiej piłce nożnej wymaga nadzwyczajnej kuracji. Władze PZPN wykonują ruchy, które niewiele dobrego przynoszą. Z korupcją walczy prokuratura, a władze PZPN biernie się temu przyglądają. W naszym kraju nikt już nie wierzy, że grupa, która dzisiaj zarządza w PZPN, jest w stanie oczyścić polską piłkę nożną. Związkowi nie udało się dopilnować czystości rozgrywek. Nie wierzę w to, że nikt w centrali PZPN nie wiedział o tym, co się dzieje. Dlatego na zjeździe 13 kwietnia br wszyscy działacze z centrali, łącznie z prezesem, powinni podać się do dymisji.

Panie Jerzy Engel. Te słowa pana zdenierowały. Toż to złote słowa.

Ostatnio „do akcji” włączył się minister sprawiedliwości Zbigniew Cwiągalski. I dobrze, że tak się stało. Stwierdził krótko – dość układom w piłce nożnej. Co z tego włączenia wynika.

Zarząd PZPN do natychmiastowej dymisji. Osoby z władz PZPN albo nie wiedziały o powszechnej korupcji, albo przymykały na nią oczy. Jedno i drugie ich dyskwalifikuje.

Przyspieszone wybory do władz związku. Dla ludzi z wyrokami 15 lat zakazu pracy. Osoby, które ustawiły mecze muszą być odizolowane od polskiej piłki nożnej, niezależnie od wyroków sądowych. Dożywocie dla recydywistów. Zawieszenie wszystkich podejrzanych. Wystarczy decyzja prokuratury, by stracić prawo do pełnienia jakichkolwiek funkcji w polskim futbolu.

Łagodniejsze kary dla skruszonych. Można jeszcze zgłosić się do prokuratury i przyznać do wręczania łapówek i ustawiania meczów. Bez względu na walkę z boiskowymi chuliganami.

Plan zdecydowany, któremu tylko można przyklasnąć. Czy tak uczynią delegaci na zjeździe 13 kwietnia br? Tego pisząc ten felieton nie wiem. Szanowni Czytelnicy biorąc ten numer „Górnika” będą już wiedzieli czy nastąpi radykalne oczyszczenie w polskim futbolu.

Bo najwyższy już czas, by wyczyścić i odświeżyć siedzibę PZPN przy warszawskiej ulicy Miodowej.

HENRYK MARZEC